

# NOWINY TYGODNIA

SOBOTA  
7. IX. 1957 r  
Nr 34 (378)

DOBATEK SPOŁECZNO-KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH”

## CEZURY MUZY KLIO

Muza Klio jest opiekunką historii. W związku z tą funkcją musi też bez wątpienia sprawować urząd starzeństwa nad przestępcami o smłoma siostrami, gdyż właśnie ona w sposób najbardziej uchwytyny jest nie tylko służebnicą Apollina, ale też Chronosa, boga regulującego czas. Dlatego też symbolem Klio jest kłopotliwa mierzająca przemijający czas. Klio odmierza czas, Chronos uśmierca go. Nie dla parady trzymać ten wychudły i wiekowy brodaczek kose, z której użytek czyniony jest stale wobec ludzi i wszelkiego świata rzeczy, łącznie z wszechświatem.

Polski wrzesień jest tym miesiącem w roku, w którym najczęściej i najintensywniej myślimy o sprawach czasu. Tłumaczeniem tego, dlaczego tak jest, wydaje się najzupełniej zbędne. Jest to bowiem miesiąc wspomnień, miesiąc refleksji.

Czas, wcale nie płynny, posiada w każdej sprawie i w każdej dziejącej się rzeczy pewne chwile, jak gdyby oddechu, chwile, w których kończy się jedno stare i zaczyna się nowe. Są to cezury, od których zaczynamy od nowa liczyć jakiegoś okresy.

Polski wrzesień stanowi więc oczywistą cezurę muzy Klio. Od niego, od tego pierwszego września 1939 roku, świat przestał być takim, jakim był poprzednio. W ro-

dzącym się wówczas z pierwszymi strzałami kataklizmicznej historii zaczęła szybko zmieniać swoje oblicze. Następną cezurą była wiosna 1944 roku, później lata 1949-50, wrzesień — październik ubiegłego roku.

Ale październik, natchmiast, w jednej chwili nie mógł zająć się ani pełną rehabilitacją historii, ani też nareszcie jej słuszną oceną. Związczą w tych dziedzinach, które są domenami słynnych dziewięciu boskich siostr pochodzenia greckiego i jednej zrodzonej w naszym wieku, a opiekującej się, jak wiadomo, kinematografią.

Powstaje pytanie, w jakim stopniu potrafiliśmy zrehabilitować i słuszenie ocenić to wszystko, od czego w kulturze oddzieliła nas cezura września 1939 roku, o ile potrafiliśmy wszystko to ocenić, by odbudować ciągłość kulturalnych tradycji.

Wydaje mi się, że zdołaliśmy zrobić tutaj bardzo niewiele. Wydaje mi się, że dla pokolenia trzydziestolatków międzywojenne dwudziestolecie naszej kultury jest nadal rzeczą nieznaną i tajemniczą. Nadal jeszcze wiele zjawisk kulturalnych tamtego okresu żyje w sferach mitu, osadzonego albo na zbyt łagodnie, albo nadzbyt surowo. Jeszcze ciągle obraz naszej kultury sprzed lat jest niejasny, chociaż dążymy

nas głuche odgłosy toczonych wówczas walk artystycznych. Exemplum: zjadliwa wypowiedź Antoniego Słonimskiego w „Nowej Kulturze” na temat awangardyzmu Anatóla Sterna, drukowany przed kilku tygodniami w „Życiu Literackim” list mieszkającego stale w Paryżu polskiego malarza Henryka Berlewiego, odgrzewający stare kłótnie, stare spory i stare intrzygi, w które tak bogaty był ten etap kultury polskiej, w którym rozkwitały naprawdę kwiaty futuryzmu, awangardyzmu, skamandryzmu, by nie wymieniać kilku dziesiątków innych „izmów”.

Nie znamy dokładnie tamtego okresu, a gdy bliżej go poznajemy, odnosimy czasem wrażenie, iż propagatorzy, mówiąc nędliwie, z rozmysłem przesalają. Tak pełna pasji i entuzjazmu, pełna przekonania osobistego akcja Juliana Przybosa propagującego sztukę Strzebińskiego i Kobra dała taki rezultat, iż może się wydawać, że Strzebiński był jedynym wielkim artystą polskim między wojnami. Udać się to mogło tylko dlatego, że inni, przypuszczam niemiernie ceni od Strzebińskiego artyści tamtych czasów, nie majątek ofiarnych jak Przybós i tak znakomicie jak Przybós ni-żących adherentów. Cóż tu dodać? Gdzie popularyzacja innych artystów? Gdzie albumy o Makowskim, Czyżew-

skim, gdzie album albo duża monografia o „Formistach”, gdzie historia interesującego „Rytmu”? Miałem niedawno w ręce katalog odbywającej się obecnie w Sopotcie zbiorowej wystawy wspólnego (zmarłego w 1936 r.) artysty - malarza Zygmunta Waliszewskiego. Otóż nieubлагana bibliografia dowodzi, że w ciągu dwudziestu lat, to znaczy od roku pańskiego 1937, do roku pańskiego 1957, o tym wielkim artyście napisano aż jeden artykuł.

W podobnej sytuacji, a może jeszcze gorszej, gdyż tu na wyрекę nie przychodzi muzea, znajduje się literatura. Co o niej wie trzydziestolatek? Niewiele ponad to, co przedostało się w niedawnych latach przez oko różnych cenzur. Co może sądzić o literaturze tamtego czasu człowiek, który na dale nie zna ani Kadena, ani Szulca, czyli dwa bieguny przedwojennej prozy?

W okresie dzielącym nas od Października, w okresie dzielącym nas od owej wcześniejszej, lecz ciągle pamiętnej Rady Kultury, podczas której zatrzęsiono podstawanymi dogmatyzmu, na której usankcjonowano „odwilż”, trzeba przyznać w sprawie tej uczyniliśmy pewien wysiłek. Niestety, jest on ciągle niedostateczny. Tu zaś potrzeba planowej pracy, wysiłku uczopnych, historyków, literaturoznawców i oczywiście wydawców. O tych wydawców rozbiła się wiele spraw. Normy, opłacalność i nieopłacalność, rotacja w rozumieniu czasu sprzedaży książki i rotacja w rozumieniu technicznym - poligraficznym — wszystko to piętrzy barykady często nie do przebycia.

Biedni wydawcy! Wszyscy ciągle oczekują czegoś od nich. Orzekują. Cóż mają robić? Wydawać książki. Tylko kto wie — jakie?

Odpowiedź na to dać może Klio. Oczywiście, pracująca w kolektywie złożonym z ośmiu rodzonych i jednej przyrodniej siostry.

WAR

Jerzy Walawski

## Ładunki

naelektryzowane powietrze  
elektryczne iskiereki wiatru  
końce palców twoich  
parzą mnie i ranią  
elektryczny grymas  
elektryczny płacz  
elektryczne oczy w ciemności  
pyłki błyskawic

noc i dzień, dzień i noc  
burza we wtórsach  
światło na skroni  
chmury w pokoju  
skarżysz się piorun  
narzekasz piorun  
czekasz piorun  
naelektryzowane powietrze  
minus plus.

VERCORS

## Koń i Śmierć Opowiadanie

Zwykle nie chciało mi się słuchać ich opowiadań. Bawia mnie, ale najczęściej uważałem je za idiotyczne. Sciskałem w rękę mały kieliszek alkoholu, śmiałem się w porę, jak inni — ale tylko z grzeczności. Zdawało mi się, że nasz gospodarz czuł się jak ja. Jednak kiedy Jean Marc kaszlnął dla rozjaśnienia głosu, gospodarz podniósł nań oczy, uśmiechnął się, pokazał wyraźnie, że słucha.

— Moja historia będzie prawdziwa — powiedział Jean Marc. — Nie zawsze byłem brzuchatym mieszczuchem, którego widzieli. Nie zawsze byłem administratorem nieruchomości. Byłem także studentem architektury, którego fantazję lubili koledzy. To nadzwyczajne, jak przemijająca zaleta jest fantazja.

Tego dnia... a raczej tej nocy było nas dwunastu, popiliśmy się i naspiewaliśmy w Balazuca, wiecie, na rue des Beaux-Arts. Jego Tavel pije się jak wodę...

— Pilo się — powiedział smutno Maurice.

— To wróci — odparł Jean-Marc. — Wafesaliśmy się wzdłuż Saint-Germain. Była pierwsza po północy. Zastanawialiśmy się, jaki zrobić kawał. Nie mogłem nigdy zrozumieć, jak się to tam znalazło: pusty wózek i koń, przywiązany do drzewa. Ani woźnicy, ani żywej duszy. Była to pocziwa, mocna szkapa, spała stojąc, ze zwieszonym łbem. Wyrzegliśmy ją i poszła potulnie za nami, jak zwykle konie, które wydają się uważać za trochę dziwne i zupełnie naturalne to, czego się od nich żąda. Dosiadaliśmy go po kolei, reszta zaś biegła obok, nawołując i machając rękami. Udało mi się nawet zmusić konia do galopu, nie na długo — dziesięć, dwanaście metrów. Gdy zostawiliśmy go samemu sobie, zwałniał kroku, stawał i natychmiast zasypiał znowu. Krażyliśmy z nim po jakichś zakamarkach. Prawde mówiąc, wkrótce mieliśmy tego dosyć, ale nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Nie było mowy, aby wrócić do wózka: został za daleko. Doszliśmy do rue D'Assas czy do rue Fleurus, gdzieś tam.

Wtedy właśnie wpadłem na pomysł. Znaćcie rue Huysmans? Naibardziej ponura ulica w całym Paryżu. Jest to ulica całkowicie mieszczkańska, z obywatelskich stron domy z ciosanego kamienia, w mieszczkańskim stylu. Ani jednego sklepu. Nie macie pojęcia, jak ulica bez sklepów (bez żadnego sklepu) może być ponura. Nikt tamtedy nie chodził. Szara, nadęta, zarozumiała, zawsze pusta ulica. Ulica dla dozorców, dobrze wychowanych dozorców, którzy nigdy się nie pokazują na progu. Pomyślałem sobie, że trafia się okazja zakpienia z tej ulicy.

Przyprowadziliśmy naszego konia. Zadzwoiliśmy do bramy, wspomnianej bramy z kutego żelaza z wielkimi szymbami. Worowadaliśmy naszą szkapę, wenechaliśmy ją aż pod okienko dozorczy. Trzeba się było, jak późniony lokator, opowiedzieć. Jeden z nas zawałł mocnym głosem, naśladując z lekka rzemie:

— Kooń...  
Wyszliśmy, zostawiając konia. Nie wiem, co się dało dzieło.

Nie wygląda to bardzo śmiesznie, ale... Trzeba tu było trochę wyobraźni. Wyobraźcie sobie najmniej szkapę, sama w bramy, nieruchoma, z mima idiotyczna i trochę zakłopotana. I dozorce: słyszysz dziwne nazwisko, takiego lokatora nie może sobie przypomnieć. Otworzył okienko — widzi coś takiego (prawdziwego konia, zwracającego ku niemu długi łeb o smutnym spojrze-

(Ciąg łałszy na str. 2)

## notatki z tamtego świata

(KORESPONDENCJA DLA „NOWIN TYGODNIA”)

Po trzech dniach podróży Folkestone — niewielki angielski port. Celnik dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, z wielo mówiącym uśmiechem zapytało mnie o wódkę. Spotyka go rozczarowanie. Byłem jednym z tych nielicznych, którzy nie zajmują się już prawie „narodowym” handlem wódką. A coż poza tym mogła zawinąć walizka, utrzymującego się ze stypendium studenta?

Do Londynu pozostało jeszcze około 2 godziny jazdy koleją. Wraz z siostrą jesteśmy chyba jedynymi białymi ludźmi w pociągu. Wszystkie przedziały wypełniają Murzyni. Podróż mija dość prędko urozmaicana ich chóralnym śpiewem. I gdyby nie to, że twarze śpiewających były zbyt clemne, jak na polskie warunki, czułbym się tak swojsko, jak w polskim „towosie”, wiozącym podchmielonych rekrutów. Nie siedziałem jednak w „towosie”, a od kraju oddzielało mnie morze i trzy dni podróży. Byłem z tamtej strony światła, o której czytało się liczne reportaże, słuchało się czasami niezbyt wiarygodnych opowieści.

A jednak te pastylki KWELSA przeciwno „travel sickness” (choroba podróży) nie pomagają za wiele. Daje się we znaki zmęczenie. Opanowuje mnie niezwykła chęć drzemki.

Z pólśnu wrywa mnie trzask drzwi wagonu i hałas, Londyn — dworzec Wiktorii. Przez chwilę wydaje mi się, że zajecha-

łem przez pomyłkę do Nigerii. Perony, chodnik biegnący obok ulicy, pokrywa zwarty tłum Murzynów. Jest tu ich tylu, co pielgrzymów w dzień odpustu w jakiejś osławionej z cudów miejscowości. Istny murzyński portok.

Z walizką w ręce stoję pod oszklonym dachem dworca, rozglądając się dokoła. Przychodzi stopniowo rozczarowanie. Dworzec jest stary, zadymiony, w niczym nie ustępujący naszemu wrocławskiemu. Tylko budowa jego jest trochę odmienna od naszych dworców. Bo wzdłuż peronu biegnie ulica i prawie na samym peronie znajduje się postój taksówek.

Pertraktacje z taksówkarzem trwają dość długo. Moja angielszczyzna zawodzi. Niewielki zasób słów, zły akcent — wszystko co może zaimponować komuś w kraju jest zupełnie nieprzydatne w Anglii. Z pomocą przychodzi „międzynarodowe” mię.

Oto siedzę w antycznym Fordzie, mknąc w kierunku dzielnicy Ealing Comon. Po 20 minutach jesteśmy na miejscu. Następuje, teraz powitanie z ojcem, którego nie widzieliśmy od około 18 lat. Kiedy po chwili podchodzę do taksówkarza, ażeby uregulować rachunek, zauważam w jego oczach łzy. I jak tu można mówić o angielskiej flegmie, zimnej krwi, skoro wodowity Anglik płacze przy scenie powitania ojca z dziećmi. A jednak byłem mu za to wdzięczny.

Jest około 18. Do późnej

nocy rozmawiamy z ojcem. Opowiadamy mu o kraju. Znikło gdzieś bez śladu zmęczenie, jestem teraz elokwentny i ożywiony jak nigdy. Przecież nie widzieliśmy się tyle lat. Tak wiele mamy sobie do powiedzenia. Kiedy kładziemy się spać, jest już około 3 nad ranem.

Drugi dzień pobytu w Londynie zaczynam wizytą w ognisku polskim. W niewielkim budynku przy Exhibition road pod numerem 57 mieści się klub, w którym zbierają się emigranci. Zapełniają salę restauracyjną, kawiarnię. Dyskutują o polityce, prowadzą długie, niekończące się debaty o kraju. Nierazko można spotkać tutaj gości z Polski. Jeden z moich nowych znajomych, emigrant, opowiada mi charakterystyczną anegdotę. Pewien podróżujący po Anglii dziennikarz Polski dysponował bardzo ubogim zasobem angielskich słów. W jego repertuarze powtarzało się tylko: yes, no, please i thank you. Kiedy na jednym z przyjęć gospodarz zwrócił się do niego z propozycją — whiskey and soda? — usłyszał w odpowiedzi uprzejme: — Whiskey yes please. Soda no. Thank you.

Jak trafnie charakteryzuje ta anegdotka wielu z nas. Stary, na wpół sparaliżowany pułkownik, a przy tym historyk, opowiada mi o swojej pracy w przedwrześniowej Polsce. Chwali się swoimi zasługami i oddaniem dla

(Ciąg łałszy na str. 3)



Sportowej

ZDZISŁAW OSTROWSKI

Z notatnika recenzenta

# WRAKI



Ewę i Czesławę Petelskich znamy z „Trzech siarow”. Drugi ich film — „Wraki” — jest oparty na scenariuszu według powieści Janusza Meisnera o tym samym tytule. I tutaj nie wykazali oni nadzwyczajnego talentu reżyserskiego, stwarzając film przeciętny i raczej nudnawy. Mimo że w niektórych momentach realizacja wymagała olbrzymiego wysiłku, zwłaszcza sekwencje podwodne, to właśnie one chyba są najbardziej atrakcyjne, zaskakujące i ciekawe. Wiele braków filmu płynnie także z scenariusza, który jest bledy i nieprecyzyjny.

Scenarzyści oparli cały film na losach nurka — Antoniego Barnata. Otwierają jego dzieje niezłym ujęciem ucieczki Niemców z Gdyni. Zamieszanie na ulicach, wrzaski zdeorientowanych oficerów niemieckich — i w to wpleciony wątek Barnata — konspiratora, który przemycił na ogromny statek bombę zegarową. Potem scena wybuchu, woda zalewa pokład, okrutnie tonie, cisza... Tylko samotny Barnat walczy z falą morską.

Następne ujęcie — to Barnat w pięć lat później, opuszczający cel więzienny. I tu jest chyba jakaś mała niefortunność. Pokazano Barnata dokładnie z 1945 r. natomiast jego losy późniejsze przewija się w parominutowej reminiscencji, przy boku plectniarki. Ten moment jest zdecydowanie zły i nieumiejętnie naskwicowany.

Jeszcze jeden minus filmu to sprawa trójki narzeczeńskie go. Nawroty i odpływy miłości Teresy do Barnata są niczym niezasadnione. W końcu jesteśmy skłonni wierzyć, że nie kochała ani Barnata, ani Rafała. Tylko że znowu ma autor scenariusza przedostatnim ujęciem, kiedy Barnat odchodzi ze swoją uzgardzoną miłością, a u boku Teresy stoi nieprzekonany Rafał. Nie ma wtedy co się dziwić jego obofejnej minie, bo (w założeniu scenariusza) silna i uczciwa Teresa okazała się płożą kobietką, która sama nie wie, czego chce.

Opuszczając już minusy, należy podkreślić doskonałe zdjęcie podwodne. Po raz pierwszy może w filmie polskim udało się reżyserowi ukazać surowe piękno i poezję pracy. Wielka solidarność, łącząca ludzi morza, znajdujących się na małym stateczku, jest naprawdę uroczą i zupełnie zrozumiałą. W sekwencjach morskich nie zawiodł ani reżyser, ani scenarzyści; są konsekwentnie logiczne i pełne życia. „Wraki”. Nie razi wtedy nawet brzydki kolor i niesynchronizowany ruch warg z głosem aktorów. Zresztą do tych dwóch bolączek, już chyba nie rozważalnie towarzyszących wszystkim naszym filmom, zdołaliśmy się przyzwyczaić.

K. S.

NAD brzegiem rzeki siedzą rybacy. Złosiłwi twierdzą, że więcej tutaj rybaków aniżeli ryb. Nie wierząc ludzłom złosiłwym. Porozmawiajcie lepiej z tymi, którzy trzymają w ręce wędkę. „Przedwczoraj panie... dwa kilo...”, a w puszcze leżącej obok dwie lub trzy rybki odrobinię większe od robaka — przynęty. Zastanawiająca rzecz, że te dwukilogramowe sztuki łapia się zawsze „przedwczoraj” i „wczoraj”. Jak żyją, jak długo chodzą nad Wisłok, „dzisiaj” nikt takiej ryby nie złapał. No cóż, ma się tego pecha. Ale co to? Ponad wodą wyprysnęło coś, co przeczyłoby mojemu wyrobionemu zdaniu o rybach. — Ładna sztuka. Przynajmniej kilogram.

Ot, tak nagle mija pech w życiu człowieka. Do szczęśliwego rybaka podbiega grupa małych Cyganiek. Wrzeszczą, popychają się. Każdy z nich chce bodaj dotknąć zdobywcy. Skąd tutaj tyle tych małych? Dopiero teraz widzę, że powyżej na małym wznieśieniu jest obóz.

Nędzne budy, mizerne szczątki wojskowych namiotów, latane różnokolorowymi płachtami przypominają widziadła na ilustracjach murzyńskie wioski. Po całym placu wala się słoma, papiery. Wo koło leżą garnki z resztkami jedzenia. Przez dziurawe ściany widać wewnątrz „mieszkania”. Wspólny barłóg, odkryty brudnymi szmatami, kawałek jakiegś koldry. Prymityw, brud, niechlujstwo.

Oto jest wiek XX. wiek atomu i odrzutowych samolotów, nieprawdopodobnie rozwiniętej techniki. A oto są ludzie, których rozwój umysłowy, których cywilizacja zatrzymała się na poziomie XVIII-wiecznym.

Zdenerwowany wrzaskiem dzieci rybak kładzie na ziemi wędkę i odwraca się w ich stronę. Teraz widzę, że i on też jest Cyganem. Smągła twarz, regularne rysy, czarne kręcone włosy.

Postanowiłem porozmawiać z tym człowiekiem. Muszę dowiedzieć się, dlaczego pędzą tak nienormalny tryb życia. Przyzwyczajenie, tradycja, wielowiekowe wędrowki całych pokoleń — nie można je dniek wszystkim tym tłumaczyć.

— Dzień dobry — zaczynam uniwersalnym wstępem.

— Dzień dobry — pada uśmiechem z drugiej strony.

Za dużo chciałem się dowiedzieć. Pytania, które tkwiły we mnie nie mogą wydobyć się na zewnątrz. Za dużo ich jest. Slegam do kieszeni, wyciągam paczkę papierosów, częstuję rybaka. Zaciągamy się dymem i wrzeszcząc rzucam pytanie.

— Nie męczy was taka ciągła jazda, przenoszenie się z miejsca na miejsce.

— Nie. Przyzwyczaili się do tego.

Ot, i masz odpowiedź. Mimo wszystko nie rezygnuję.

— Z daleka jedziecie?

— Ze Szczecina — i zaraz po tym z ożywieniem mówi „ile to ryb w tym Szczecinie”. Niechęć do poważniejszej rozmowy jest widoczna. Odpowiedzi są dawane powściągliwie, ostrożnie. Cyganie nie lubią o sobie zbyt dużo mówić.

— Z czego wy żyjecie?

Znow łapadarny skrót w odpowiedzi: ślusarz, kotlarz. Nie klei się rozmowa.

Z nadbrzeżnej skarpy schodzi młody Cygan. Zbliża się do nas, siada. Za chwilę uważnie wpatrując się we mnie, prosi o

Od strony obozu dolatuje krzyk. Dwie Cyganki w barwno wymyślony sposób łąją młodą, spacerującą nad rzeką parę. Dziewczyna nieopatrznie wskazała palcem na obóz, robiąc jakąś uwagę i stąd cała awantura. Cyganie są ambitni. Nie lubią jeżeli się o nich mówi. Podchodzą do awanturujących się kobiet. Milkną momentalnie. Już słyszę natrętne „powróżyć panu”. Odmawiam. Ale kiedy nalegają coraz bardziej, sięgam do portfela i wyciągam 5 zł. Twarze Cyganek rozjaśniły się. Jedną z nich daje mi do przełożenia karty.

— Dołóż do 20 zł. Dołóż. Pięć za mało.

Nie mam ochoty dawać 20 zł. Uważam, że za nawiązanie rozmowy wystarczy zapłacić

konać, wystarczy posiedzieć chwilę na skwerku koło bożnicy Sam tyłem świadkiem jak w przeciągu godziny jejina z Cyganek zebrała około 100 zł. Nie dziwny się potem, że Cyganowi nie opłaca się pracować, że żąda pracy za 3 tysiące złotych. Tyle przecież można zarobić zupełnie się nie wysilając.

Pod namiotami, na placu obozowym kręją na wpół nagie Cyganki. Obok przechodzą ludzie, dzieci. Niezbyt to budząco wygląda. Czasami prawie na ludzkich oczach załatwane są najbardziej intymne sprawy. Oto egzotyka, ale egzotyka szkodliwa, demoralizująca.

— Czy wasze dzieci chodzą do jakiegś szkoły?

Przeczenie. Nie uczą się. No bo niby gdzie miałyby się uczyć. Jedynymi nauczycielami są rodzice i starsi. Przed namiotami wykładowymi: złodziejstwo, wróżbiarstwo, nierobstwo.

Cyganie nie mają stałych miejsc zamieszkania, stalej pracy. Co uczciwi z nich zarabiają dorywczo jako kotlarze, a reszta żyje nie wiadomo z czego. I niejednokrotnie mają dużo pieniędzy. Jeden z milicjantów opowiadał mi, że spotkał kiedyś leżącego, pijanego do nieprzytomności Cygana, który miał w kieszeni około 8 tysięcy złotych. Należałoby się zastanowić nad uregulowaniem „kwestii cygankiej”.

Ludzie od jędką po całym kraju i najczęściej utrzymują się z żebrania. Pozabawieni są opieki lekarskiej, najprymitywniejszych zdobyczy cywilizacji. Ileż razy widziałem cygankie dzieci, chodzące boso po śniegu. Mówi się, że Cygan zdrowy, Cyganowi nie nie będzie. Nieprawda. Przeprowadzone w Nowej Hucie badania lekarskie wykazały, że olbrzymi procent spośród nich choruje na gruźlicę. Nigdzie nie znajdziecie tak dużej ilości analfabetów jak u Cyganów. Liczba ta wciąż rośnie. Przyrost naturalny jest bardzo wysoki. Każda rodzina składa się co najmniej z ośmiorga dzieci. Ile z nich zajmie jaką taką pozycję w społeczeństwie?

— Dowiedzenia wam — żegnając się z moim Cyganem i odchodząc. Powracam brzegiem rzeki, przechodzę obok siedzących rybaków, ale nie zwracam już teraz na nich uwagi. Prześladyuję mnie nawet, upokarzający szept Cyganki — „powróżyć panie, powróżyć...”

Wacław Kierowski



papierosa. Wyjmuje pudełko. Bierze, zapala i prosi o jeszcze jeden. Siedzi dalej koło mnie, w pewnej chwili nachyla się i mówi konfidencjalnym tonem — „kup se pan skrzypce”.

Odmawiam. Nie zrażony niczym ciągnę dalej. Mam ładny krawat. Kup. I ta oferta nie trafia mi do przekonania.

Teraz ja przypuszczam a-tak, tylko o nieco innym charakterze — skąd jedziecie?

— Z Gorlic — brzmi odpowiedź.

— Dużo was jest tutaj?

— Dużo.

— Przyjechaliście podciągiem czy kołmi?

— Tak, podciągiem.

— A co tutaj robią konie?

— Przyjechaliśmy.

— Jaki, przecież przyjechaliście podciągiem.

— Tak, podciągiem.

Kpił czy co? Ale na twarzy mojego rozmówcy nie widzę śladu kpiny. To tylko nieufność, może ograniczenie. Ten człowiek nie chce po prostu powiedzieć prawdy.

5 zł, bo kupa bzdur, które usłyszysz nie warta jest nic. Wróżbitka nalega dalej, a kiedy widzi, że nic nie zyska, porywa leżący na kartach banknot i ze słowami „on skąpy, skąpy” ucieka do obozu. Jak gdyby na dane hasło opada mnie gromadka dzieci.

— Daj panie 50 groszy. Pójdziesz do nieba. Daj 50 groszy.

Nie mam ochoty iść do nieba. Nie daję 50 groszy. Mały kręca mi się pod nogami, jeden z nich usiłuje mnie gaskać po twarzy, drugi klepie po plecach.

Znow zbliża się do mnie młody Cygan, który proponował mi skrzypcową transakcję.

— Panie ja dobre wróżę. Chłop lepiej wróży niż baba. Odmawiam i jednocześnie rzucam mu pytanie. Ile kobieta zarobi wróżeniem? Według zdania mojego rozmówcy tylko 10 zł. dziennie. Dziecię złotych dziennie, to tylko jeden, co najwyżej dwóch natłwanych, a przecież jest ich więcej. Ażebym się o tym prze-

Vercors

## Koń i Śmierć

### Opowiadanie

(Dokończenie ze str. 1)

niu) i, rozespany, zastanawia się przez minutę, czy teraz rzeczywiście konie wracają do domu, wołając swoje nazwisko... Zdarzyło się to dwadzieścia lat temu, ale do tej pory pękam ze śmiechu, ile razy to sobie przypominę.

Wówczas gospodarz postawił swą szklankę na stole i rzekł:

— Opowiem wam najciekawszą historię o Hitlerze. Zestawienie wydawało mi się dziwne.

— W gruncie rzeczy to ta sama historia — podjął — dlatego mi się przypominała. Jest również prawdziwa. Opowiedział mi ją Z., który zna dobrze Breckera. Nie byłoby to jeszcze dowód, że jest prawdziwa, ale jestem pewien, że jest. Dlatego, że się nie kończy. Kiedy wymyśla się jakąś historię, nie zostawia się jej bez zakończenia.

Było to w 41-szym, wtedy, kiedy Hitler przyjechał do Paryża. Pamiętacie? Przyjechał o piątej rano. Kazał się tu i tam wozić. Istnieje straszne zdjęcie — straszne dla nas — na którym widać go, stojącego na tarasie Pałacu Chailloit. Przed jedną z najpiękniejszych, może najpiękniejszą perspektywą miejską na świecie. Z całym Paryżem u nóg. Całym Paryżem, który śpi i nie wie, że Hitler nań patrzy.

Kazał się także zawieźć do Opery. Poszedł na salę. Sala Opery o szóstej rano... wyobrażacie to sobie. Kazał sobie wskazać łóżę prezydenta Republiki. Siedział tak sam w tej łóż, sam na całej sali o szóstej godzinie rano. Nie wiem, czy to wam coś mówi. Ja uważam to za symboliczne, uważam całą wizytę w Paryżu za symboliczną. Człowiek, który podbił Paryż, ale

SMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ I ŚMIERĆ — KOŃ

wie dobrze, że miasto może posłać tylko we śnie, że może pokazać się w Operze tylko w zakurzonej pustyni poranka...

Ale to wszystko zdarzyło się dopiero potem. To, co wam chcę opowiedzieć, stało się wcześniej, zaraz po jego przyjeździe. Witął go Brecker, którego Hitler nazywa swoim Michałem Aniołem. Führer mówi mu:

— Przede wszystkim zaprowadź mnie tam, gdzie mieszkałeś wtedy, dwadzieścia lat temu. Chcę zobaczyć, gdzie pracowałeś. Chcę zobaczyć twoje atelier na Mortparnasse.

Samochód kieruje się więc ku rue Campagne-Premiere albo Boisannade, nie wiem dokładnie, w każdym razie w tamtą okolicę. Brecker waha się trochę, kluczy — wiele zmieniło się od dwudziestu lat. Mimo wszystko poznaje wielką bramę wejściową. Wystadają z auta i pukają.

Zdaje mi się, że powinniście zrobić teraz taki sam wysiłek wyobraźni, jak dla szkapy i dozorcej. Tym razem zresztą nie jest to dozorca, lecz stara konserżka; nie może otworzyć bramy na odległość, musi zejść ze swego mieszkania. Budzą ją nagłe uderzenia. Zastanawia się, drząc, co się dzieje. Wciąga stary szlafrok, może pelerynę, schodzi z ciemnego jeszcze półpiętra, grzebie starymi rękami w wielkim, niebosłusznym zamku i wreszcie udaje jej się odemknąć drzwi... Otworzyła, patrzy, za drzwiami...

HITLER

To wszystko... Historia jest jednak zdumiewająca, pełna znaczenia. Właśnie dlatego, że zdajecie sobie doskonale sprawę, jak zbędne byłoby mówić o przerażonym krzyku konserżki, o tym, jak pośpiesznie zatrzasnęła bramę przed niewiarygodną wizją. Można by powiedzieć, że zobaczyła diabła. Trafic by się na przykład mogli inni Niemcy: nastraszyłaby się oczywiście, mruknęła do siebie: — „Czego oni tu chcą?” — ale — trzęsąc się ze strachu — wpuściłaby ich w końcu, i tyle. Albo wyobraźcie sobie Franco, nawet — Mussoliniego. Prawdopodobnie nie poznałaby ich tak prędko, a gdyby nawet, to nie zatrzasnęłaby drzwi z krzykiem grozy. Nie, nie: widać wyraźnie, że to, co

zobaczyła za drzwiami było równie przerażające, ohydne, budzące grozę, co Śmierć. Śmierć ze swą kosą, całunem, ponurym uśmiechem na bezwargich ustach.

Z tomu „Mileczenie morza”



Ilustr. ALFRED RUD

# Życia MUZYCZNEGO

**W** dniu 6. IX. w sali WDK rozpoczęła nowy sezon koncertowy 1957/58 r. Woj. Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie. Na I program złożyły się: uwertura do opery „Maria” R. Statkowskiego (1859—1925), V koncert fortepianowy Es-dur Beethovena (1770—1827) oraz V symfonia e-moll A. Dworzaka (1841—1904). Dyrygował J. Ambros, solistą był Zubrzycki, absolwent Wyższej Szkoły Krakowskiej (1955/56) z klasy prof. Drzewieckiego.

Z uwagi na interesujący program warto go nieco omówić. Najpierw — nasycona dramatem treścią — uwertura „Maria”, jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów swego czasu. Twórczość Statkowskiego na ogół jest nieznaną nawet w środowisku muzyków. Wiele jego utworów nie zostało w ogóle wydanych, a pozostałe zaginęły w czasie ubiegłej wojny. Najbardziej popularne, to — Krakowiak na skrzypce i fortepian oraz właśnie uwertura „Maria”. Utrzymana jest ona w konserwatywnym stylu, ale wykazuje wiedzę i doświadczenie kompozytorskie. Uhmula ona każdego, zwłaszcza iż operuje pięknymi, lirycznymi tematami o cechach wybitnie polskich.

Dla kontrastu V koncert Es-dur Beethovena. Koncert z epoki klasycznej, więc zawsze 3-częściowy. Koncerty fortepianowe Beethovena w ogólności są formą, w której ten geniusz zawarł najgłębsze przeżycia artystyczne. Koncert Es-dur nazwano bohaterским, dzięki swym optymistycznym, marsowym tematom allegro (I cz.) i rondo (III cz.). Przedziwnie śpiewny jest temat II części wolnej — adagia. Nowością tego koncertu jest efektowny wstęp fortepianu przed tutti orkiestry. Mimo wirtuozowskich wymogów fortepianu nie wychodził on na

pierwszy plan. Fortepian i orkiestra to jedno. Jak to u Beethovena, pewnych konfliktach wewnętrznych utworów kończy się optymistycznie, by wykazać niezłomną wiarę w człowieka i przeznaczenie. Z przyjemnością słuchając koncertu, nabraliśmy apetytu na coś więcej. Zaspokoiła nas cała kowicie V symfonia A. Dworzaka. Nieprzypałąkowo myśle, znalazła się ona tutaj. Trzeba wiedzieć, że Dworzak to jeden z twórców narodowego stylu w muzyce czeskiej XIX w., obok B. Smetany i Z. Fibicha. Twórczość jego (przede wszystkim symfoniczna) oparta na rodzimym folklorze, należy do największych dzieł w historii muzyki. Sławę zdołał sobie „Tańcami Słowiańskimi” (przypomnijmy sobie analogiczne „Tańce Węgierskie” Brahmsa, n. b. przyjaciela Dworzaka), a głównie 9 symfonią. V symfonia zatytułowana „Z Nowego Świata” (Ameryka) wykorzystuje świadomie motyw najbardziej typowych warstw ludowych Ameryki. Mimo to Dworzak jest tutaj, jak zwykle, przede wszystkim Czechem. Mamy tu 4 kontrastowe części symfonii, forma klasyczna. Jednak przeniknąła niespotykanym dotąd pierwiastkiem narodowym. Szybkie allegro, largo, operujące jednym skromnym tematem, żywe scherzo oraz końcowe allegro con fuco, przynoszące motywy i cz. jako refleksja pierwotnych przeżyć. W sumie jest to muzyka wdzięczna, optymistyczna (właśnie jakiej nam trzeba), to znów porwykająca, potężna.

Całość programu symfonicznego była więc wypełniona tyłoma emocjami, ile ich trzeba, by słuchacza nie znudzić, przeciwnie, zainteresować na przyszłość.

R. JÓZKOW

# Głos o teatrze

**W**ielką artystkę Wandę Siemaszkową, poznałem w 1945 roku w Rzeszowie. edy pełniła tu obowiązki dyrektora teatru. Nieraz rozmawialiśmy z nią w gronie jej najbliższych współpracowników o repertuarze, o aktorach i o trudnych warunkach pracy teatru rzeszowskiego w tym czasie.

Opracowując historię rzeszowskiej prasy, natknąłem w tygodniku „Głos Rzeszowski” z lutego 1905 roku kilka wiadomości o występach lwowskiego teatru ludowego w tym czasie w Rzeszowie, z udziałem Wandy Siemaszkowej. Mianowicie grała ona tu tytułową rolę w „Norze” Ibsena, a następnie rolę Janiny w sztuce Feldmana „Cień”.

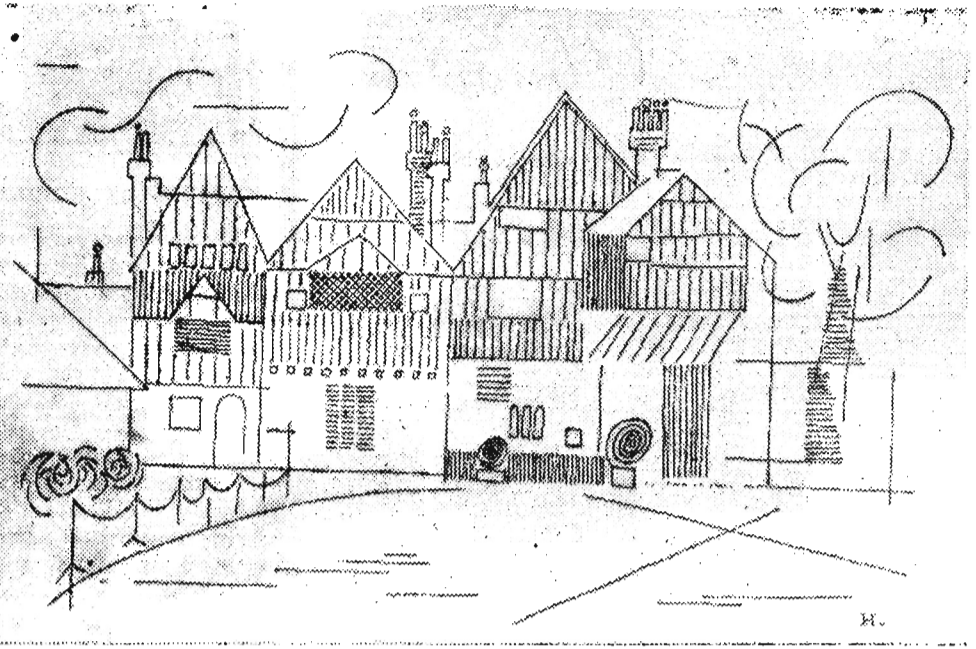
Jak czytamy w „Głosie Rzeszowskim”, sala Sokoła (dziś mieści się tu teatr) wypełniona była do ostatniego miejsca. Siemaszkowa swa gra wywołała ogromny zachwyt, wyrażany czestymi oklaskami. W obszerniej recenzji wstępu Siemaszkowej na scenie w Rzeszowie omówione są w samych superlatywach, a w zakończeniu czytamy te słowa: „Sądzimy, że pani Siemaszkowa, poznawszy wdzięczną dla każdego prawdziwego artysty publiczność rzeszowską, za wita wkrótce do naszego grona”.

Być może, że wspomnienia tych czasów odżyły w pamięci Siemaszkowej, gdy w 40 lat później postanowiła przenieść się z Krakowa do Rzeszowa by tu pokierować pierwszym stałym teatrem w naszym mieście.

Dlatego — moim zdaniem — projekt nazwania teatru rzeszowskiego imieniem Wandy Siemaszkowej jest w całej pełni uzasadniony, a wydanie przy tej sposobności odpowiedniej publikacji, poświęconej pamięci wielkiej artystki ze wszech miar wskazane.

Dr Franciszek Błoński

# NOTATKI Z TAMTEGO ŚWIATA



Stare domki z Winchester —

rys. L. E. Holdanowicz

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kraju. Sam nie pyta wiele o Polskę. Uważa się za świetnie poinformowanego o naszej obecnej sytuacji. A wszystkie moje nieśmiałe uwagi na mniej lub bardziej bzdurne historie zbywa z ironicznym dobrodziejstwem pobłażliwością. „Wiem, wiem jak tam u was jest”.

A jednak wyczułem, że temu człowiekowi jest tutaj źle, że chciałby powrócić. Powstrzymuje go nierzadko nieuzasadniona obawa przed „straszonym reżimem”.

— Pan przyjechał z tego kraju, do którego już nigdy nie wrócę.

Nostalgia, to ciężka, nieuleczalna choroba. A na rezydualne jej wyleczenie — powrót do kraju, nie wszyscy mogą się zdobyć.

Niektórzy zadomowili się tutaj, zapewniłi sobie jakiś taki byt, innych powstrzymują „względy polityczne”, a jeszcze innych powstrzymuje lęk przed ruszeniem się z miejsca.

W połowie sierpnia w ognisku odbywa się zabawa dla polskich studentów, którzy spędzali w Anglii wakacje. I oto dociera do mnie echo tej imprezy. Czy wszyscy ludzie w Polsce chodzą tak ubrani jak tamci studenci? Bo u nas podobnie ubierają się tylko „teddy - boys” (chuligani).

Ubrany elegancko, ale skromnie, bez ekstrawagancji Anglik był zaskoczony barwnością stroju polskiego studenta. Każdy z nich był dla Anglika „shocking”, tyle mniej więcej, co po naszymu pomylenieć.

Na dole w restauracji zjadam smaczny obiad. Dania są czysto polskie: chłodnik i kotlet z kapustą. Przy stołach siedzą dystyngowani panowie w clemnych ubraniach, z namaszczeniem spożywający pol-

skie rarytasy. W restauracji zbiera się zresztą sama „śmietanka towarzyska”. Obiady są dość drogie. Cena waha się pomiędzy 7—8 szylingów, a zarobki nie są zbyt wysokie.

Od paru tygodni w mieszczącej się na I piętrze sali teatralnej występuje teatr Hemara. Właściwie nie jest to teatr w pełnym słowa tego znaczeniu. Odpowiedniejszą nazwą byłaby tutaj estrada. Teatr cieszy się szalonym powodzeniem. Wynika to z braku jakichkolwiek rozrywek tego typu, a poza tym...

W teatrze nierzadko słychać szloch. Nierzadko wyjdzie ktoś w połowie spektaklu, żeby wyplakać się w jakimś zacisznym kącie wzruszony polską piosenką, polskim wierszem. Tesknota za krajem doprowadziła wielu ludzi do obłędu. I nie jest to tylko wymysłem piszącego, że choroby umysłowe są bardzo rozpowszechnione wśród emigrantów.

Pewien student, który przyjechał do Anglii złożyć wizytę ojcu i „wybrać wolność”, spotyka się tutaj z ogólnym poթieniem. Emigranci nie mogą zrozumieć jego postępków i pochopności decyzji.

„Nie ma na świecie takiego chłiba, jak chleb kulikowski” — po wyjściu z teatru długo dźwięczały mi w uszach słowa piosenki Hemara.

Opuszczamy wraz z ojcem i siostrą budynek ogni-ka. Jesteśmy w dość kiepskich nastrojach. Spotkanie z rodakami na obczyźnie nie narzuca człowiekowi zbyt optymistycznie. Pierwszy przerywa milczenie ojciec. Opowiada nam o pewnym zdarzeniu, którego był naocznym świadkiem. Jeden ze znajomych poprosił go w odwiedziny do pewnej starszej pani — Angielki.

Po chwili rozmowy rzeczo-

na pani poprosiła ojca do przyległego pokoju i tam z wielkim namaszczeniem o-tworzyła olbrzymią kasetę z herbem Anglii na pokrywie. Wewnątrz znajdowała się druga kaseta, z takim samym herbem, a w niej... Angielka z triumfującą miną wyściągająca stare koronkowe dessous.

— W pierwszej chwili pomyślałem, że mam do czynienia z wariatką. Ale w końcu rzecz się wyjaśniła — powie-dział ojciec. Owa część dolnej garderoby należała kiedyś do królowej Wiktorii i teraz jako relikwia spoczywała w ozdobionym królewskim hermem pudle.

Po opowieści ojca humory nasze wybitnie się polepszyły. Bądź co bądź nie często słyszy się o królewskich majtkach, przechowywanych jako narodowe świętość. Siłą rzeczy oddziałuje to korzystnie na samopoczucie.

Dochodzimy do stacji metra — South Kensington. Zjeżdżamy na dół windy, obsługiwanej przez Murzyna. Kolejka w kierunku Uxbridge nadejście za chwilę.

Z tunelu wypada czerwony wąż wagoników. Syczą odwierane pneumatycznie drzwi. Za chwilę jesteśmy już wewnątrz i ruszamy.

W miękkich fotelach siedzą angielscy dżentelmeni, czytający gazety. Wewnątrz przedziałów panuje grobowa cisza. Nikt nie rozmawia, nikt się nikogo o nic nie pyta. Od czasu do czasu słychać tylko szelest miętych i rzucanych na podłogę gazet. Góvby ktoś rzucił gazetę do śmietnika, byłby poczytany za dzwiałka. I w tej chwili czuję się jak w Polsce. Rośnie we mnie narodowa duma, że nie tylko my potrafimy śmiecić.

LESZEK EWARYST HOLDANOWICZ

## Rozmowy o malarstwie

# Marc Chagall

**W** malowniczym miasteczku Vence, na południu Francji mieszka malarz, Marc Chagall. Dom jego — biała willa w ogrodzie — pełen jest obrazów, płócien o czarownym kolorycie. Są one poetyckimi opowieściami o życiu twórcy; Chagall i jego obrazy, to jedno. Malarz nie chce się pozbyć żadnego z nich. Nie sprze-daje swych płócien, wypożycza je tylko na wystawy.

Pracuje: ma jeszcze wiele do opowiedzenia i wiele będzie potrzebował kolorów, aby ubrać nimi swe wspomnienia o Rosji, rodzinnym kraju, o księżycu świejącym nad daleką gubernią, o dziwach, jakie opowiadają ruskie babki, o tym wszystkim co było jego dzieciństwem i młodością.

Chagall ma lat 67, a serce i wyobraźnia jego jest jak z tamtych czasów, w Witebsku, gdy mały chłopiec poznawał życie, ten najbliższy świat — czasne i zatłoczone Getto, Chagall miał liczne rodzeństwo, rodzina ta żyła w bogobojnym ubóstwie, tak powszechnym w dzielnicach żydowskich. Wszystko działo się tam jak przed stu, dwustu laty: Sabbath i psalmy, talmud i synagoga...

Zydowski dziecko nigdy nie zapomni swego pochodzenia, nigdy się go nie wyprze. Twarz ojca, najdroższa mu twarz spracowanego robotnika, przestani świetne malarstwa, które zobaczy w Paryżu. Obraz tej twarzy będzie porównywał do dzieł wielkich mistrzów: Giotto, Rembrandta i Goya, patrząc na nie, pomyśli: „To podobne do ojca”.

Sródzlewnego, tam, gdzie koloryst jest taki gorący, intensywny, ale myśli o Rosji i ją zawsze maluje.

„...Czuję się Rosjaninem i zostałem na zawsze wierny mojemu domowi, rodzinie, krajowi. Nie uległem żadnej asymilacji, a w moim wieku trzeba już umieć znaleźć ojczyznę w sobie samym. Nie wyjechałem z Rosji z przyczyn politycznych. W Witebsku nie było koloru, tutaj znalazłem kolor i rozświetliłem Witebsk w moich obrazach. Gdybym miał kiedyś wystawę w Moskwie, to ludzie rosyjscy, prości jak mój ojciec, mogliby wydać swój sąd, ważniejszy dla mnie od sądów krytyki, bo o tych ludziach zawsze myślałem”.

Marc Chagall zaczął swą drogę malarską wczesnie, jeszcze był prawie dzieckiem. Osiemnaścieletni malarz opowiada o swoim domu, o rodzinie — koloryst tych obrazów jest szaro - niebieski, melancholijny, jak krajobraz rosyjskiej guberni. W 1910 r. udaje się do Paryża, w którym tworzy tak wielu wybitnych malarzy.

Twórcza atmosfera Paryża działa. Pobudza ona artystę do coraz to śmielszych prób. Chagall, jest świadkiem zmian i nowości, którymi pulsuje środowisko artystyczne. Zaledwie mija ustrząs wielkich aktów Picassa, wystawionych w 1909 r., a już ukazują się pierwsze maszyny - giganty Legera, orfizmy Delaunaya, wystawa futurystów.

Chagall jest silny. Ma bowiem swą epicką treść, ma wielok-

tematy. Są nimi: Rosja, getto, ojciec, rodzina.

Pracuje — obrazy jego urastają do olbrzymich płócien. Koloryst ich fantastyczny i urzekający, przypomina rodzinną baśń.

W tematach „Dwie postaci pod drzewem”, „Dla mojej narzeczonej”, „Ja i moja wieś”, „Rosja ostom i innym” urze-czywistnia Chagall poezję Gogola, Leskowa, Remisowa. Wyobraźnia rzezutna i szalona tworzy malarstwo, które jest nieprzerwanym potokiem poezji.

Wojna światowa — Chagall wraca do rodzinnych stron, do żywego źródła swej wyobraźni. Maluje ludzi z żydowskiej dzielnicy, rabinów, fryzjerów, anioła — zwiastuna nad Witebskiem, mały domek, żonę i siebie. Parę jest

daleko. Nowoczesne wspaniałości malarstwa są obrazami snów. Nie słychać tu gorących dysput o problemach kubizmu i symultanimu. Pro-wincjonalne domki i dobro-duszni ludzie. I jakże tu w



„Baśń złmowa”

Marc Chagall

świątecznie ikon i jarmarcznych obrazów malować po parysku? Symultanim, kubizm... Szczera i naiwna rosyjska dusza śmiać by się mogła z niezrozumiałych dla niej koncepcji, śmiać się do łez. I oto kubizm staje się zarlem: jeden z obrazów Chagalla przedstawia starego rabina. Na głowie jego stoi taki sam rabin, mały jak laleczka i z innej strony ujęty (bo przecież kubizm to wielostronne widzenie przedmiotu).

Po rewolucji październikowej działalność Chagalla ożywia się — powstają nowe problemy. Artysta działa teraz w Moskwie. Wykonuje dekorację żydowskiego teatru. Opracowuje scenografię do Gogola. Tworzy cykl ilustracyjny do „Martwych dusz”.

W roku 1922 przyjmuje wielkie zamówienie Vollarda i udaje się do Berlina, a potem do Paryża. Staje się ilustratorem bajek La Fontaine'a, Gogola i Biblii. Opracowanie

plansz graficznych trwa 25 lat.

Chagall mimo poważnego wieku tworzy dalej — jest młodościwy i żarliwy.

Tego roku, w Bibliotece Narodowej w Paryżu otwarta została wystawa wszystkich jego prac graficznych. Prócz tego wystawy malarstwa w Paryżu, w Brazylii, Monachium i Hamburgu.

Malarz interesuje się żywo wszystkim, co się dzieje na świecie. Zapytany, co sądzi o przyszłości polskiego malarstwa, mówi:

„Może właśnie w waszym kraju po okresie nostalgii, uśpienia, zbudzi się jakiś nowy porryw, niosący z sobą coś świeżego. Może młodzież jest u was zdrowsza, bardziej naiwna, spontaniczna. Cenę w sztuce wszystko, co jest spontaniczne, co wychodzi z serca. Dlatego właśnie uwielbiam Chopina, sławę i piękno Polski”.

Nie lubię sztuki wykonanej, wyrozumowanej, suchej. O. S.

● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ●

## Anegdota Chamforta

Przed niespełną ćwierćwiekiem, rozmawiały w literaturze francuskiej. Bóg odkrył niezwykły urok refleksji i anegdot Chamforta. Sarkazm i rozczarowanie tego filozofującego pesymisty z drugiej połowy XVIII w. byłyby może zbyt przynębiające, gdyby nie obżarł parcia dowcipu i bliskotłowego intelektu.

Oto kilka anegdot:

Odbywano procesję z relikwią św. Genowefy, aby wybić suszę. Ledwie procesja ruszyła, zaczęło padać; na co biskup de Castres rzekł jowialnie: „Święta się pomyliła; myśli, że my ją prosimy o deszcz”.

Atakowano opinię pana N. o jakimś dziele, przeciwstawiając mu odmienny sąd publiczności. „Publiczność, publiczność, rzekł; ilu trzeba głupców, aby stworzyć publiczność?”

Kiedy Malborough był w okopach z przyjacielem i siostrzeńcem, kula strzaskła głowę przyjacielowi i bryznąła mózg na twarz młodego człowieka, który cofnął się ze zgrozą. Malborough rzekł zimno: „Widzę, że jesteś zdziwiony? — Tak, odparł młody człowiek obcierając twarz, jestem zdziwiony, że człowiek, który miał tyle mózgu, narządził się dobrowolnie na tak bezcelowe niebezpieczeństwo”.

N...powiada: „Wyrzekłem się przyjaźni dwóch ludzi; jednego, bo nigdy nie mówił ze mną o sobie, drugiego, bo nigdy nie mówił ze mną o mnie”.

N...pytano, czemu gubernatorzy rozciągają więcej przepychu niż sam król. „Tak samo (odpowiedział) aktorzy prowincjonalni bardziej szarżują niż paryscy”.

Wedle tonu, jaki panuje od dziesięciu lat w literaturze, powiadał N..., sława literacka wydaje mi się rodzajem hańby, która nie jest jeszcze równoznaczna z przegięciem, ale to przyjdzie”.

Pewien kupiec, adwokat, inteligentny człowiek, powiedział: „Można dostać młodości widząc sekrety rządu, sądu i kuchni”.

## najkrótszy FELIETON

W tym dziwnym dniu wszystko było na opak, gdyż — Na wokandy sądowej nie znaleziono ani jednej pszczołki.

— Pod sklepami stały ciche, w piękny waz rozciągnięte koleżki (podobno było masło!).

— Obiady w restauracjach nie były spóźnione nawet o minutę.

— Sprzed kina zniknęły koniki w plerzaczach.

— W kawiarni ukazał się przyjemnie ubrani dziadowie, którzy prosząc o parę groszy, nie ziali czystą wyborową.

— Młodzieńcy ostrzyżeni na tytusa, i niemodnego już fanfana, dźwigali wiejskie kobielki i próbowali uprzejmej konwersacji z babulinkami spod Palikówki.

A nocą działy się jeszcze większe dziwy, bo

— Na każdej ulicy, nawet tej najciemniejszej przechadza li się uprzejmi milicjanci.

— A pod nocnymi lokalami panowała niezwykła cisza...

Pan Antos wracał do domu z błędnym okiem. Z przerażeniem nacisnął guzik dzwonka. Otworzyła szlachetna polowica. Rzucił oka w jej stronę oznajmił mu o niezmiętej sytuacji.

— Awantura jak co dzień — sypią się takie syny, lebiegi, pijanice... Po raz pierwszy usławił sobie, jak urocze życie prowadzi u boku tej energicznej niewiasty. Tam za oknami był już co najmniej przedsiódek nieba; tu — nuda nie miała jeszcze wstępu. Odełchnął z ulgą i w brudnych buciorach zwał się na łóżko.



### ZWYCIĘZYŁY KOBIECY

Stary film Jacques Feydera z 1935 r. do dziś dnia urzeka widza swoistym dowcipem, finezją typowo francuska, mimo że jako powiastka filozoficzna traci trochę naiwnym pacyfizmem. „Zwycięzły kobiety” — to przede wszystkim uroczą farsa historyczna, osnuta na tle walk Hiszpanów we Flandrii. XVI wieczne miasteczko flamandzkie, które swój syty spokój zawdzięcza kobietom, jest całe w typie płócien malarzy flamandzkich. Wielką atrakcją jest doskonała obsada aktorska: niezjący już dziś Louis Jouvet i pełna temperamentu Francois Rosay. Film należy zobaczyć koniecznie.

### GORZKI RYZ

Giuseppe de Santis — jeden z najwybitniejszych realizatorów włoskiego neorealizmu, uzyskał miano reżysera niespokojnego; reżysera wiecznych poszukiwań. Po doskonałym „Tragicznym pościgu”, którym zadebiutował, realizuje drugi film — właśnie „Gorzki ryż”. Obżarł wyjątkowo społeczną jego dzieła umieszcza tragiczną historię z pol ryżowych w czołowie neorealizacyjnej kinematografii.

Szkoda, że ogladamy ten film dopiero w 9 lat po jego zrealizowaniu.

### LUNATYK

I jeszcze raz Fernandel. Mimo, że filmy z nim są zabawne, wzbudzają protest swoją ilością i sposobem rozpowszechniania. Od baśniowego All-Baby, zdrażonego męża, który wszystko wybaczy, pomyślowego damskiego krawca i 6 różnych Fernandelów w „Pieciórachkach” (co było już naprawdę za dużo), znowu Fernandel — tym razem jako lunatyk-detektyw. Kto może i jest wytrzymały niech idzie film zobaczyć. Komik jest przecież niezły, czego niestety nie można powiedzieć o dystrybucji CWF.

Zdzisław Ostrowski należy do malarzy najmłodszej generacji, która stawia sobie ambitne zadania — szukania nowego wyrazu i współczesnej formy.

Nie rezygnując z podtekstu literackiego, z frapującego go motywu, przede wszystkim pragnie on rozwiązać zagadnienia formalne. Dba o kolor i konstrukcję. Stara się melodyjnie i rytmicznie budować swoje obrazy.

Prace jego charakteryzują się docieklnością.

## ZDZISŁAW OSTROWSKI

Tematyka Ostrowskiego jest kameralna: wnętrza, martwe natury, portrety...

W reprodukowanej obok pracy „WNETRZE” treść wyraża się w lapidarnej formie i oszczędnym kolorystyce. Nie rozprasza się w wielości środków, znamionuje skupienie malarza.

# Moulin Rouge



## KSIAŻKA i FILM

Pierre La Mure jest jednym z dość znanych pisarzy francuskich. Niemniej rozgłos przyniósł mu dopiero książka napisana w języku angielskim — „Moulin Rouge”, która od razu stała się światowym bestsellerem.

Tragiczne losy Henryka de Toulouse-Lautreca, malarza impresjonisty, współczesnego Van Goghowi i Gauguinowi są nierozdzielnie związane z paryskim Montmartre'em i artystyczną cyganerią. Poza tym jego nazwisko łączy się także z powstaniem pierwszego kabaretu w tej dzielnicy, zwanego od wtekłoch, rozjarzonych czerwonymi lampkami skrzydeł wiatrak — Moulin Rouge.

Projekt plakatu dla kabaretu, gdzie jedynym „władcą” był kankan, wykonał właśnie Toulouse-Lautrec. Jego nowocześnieść i śmiałość zadecydowały o powodzeniu lokalu.

Szkoda tylko, że mimo wznowienia „Moulin Rouge” jest w Rzeszowie książką nie osiągalną.

Temat „Moulin Rouge” pociąga reżyserów filmowych swoją oryginalnością i... obyczaj-

owością. Podkasane suknie, omdlałe spojżenia i dziki temperament kankana pozwalają na nieograniczone wykorzystanie możliwości ekranowych.

Przed rokiem wiele mówiono o „French Cancan” — filmie Jean Renoira, który nawet zdobył nagrodę francuskiej krytyki filmowej, jako najlepszy obraz roku 1956.

Obecnie wchodzi na nasze ekrany angielski film, będący adaptacją powieści La Mure'a, w reżyserii Johna Hustona.

Znakomity aktor Jose Ferrer, odtwórca postaci Toulouse-Lautreca wiele czasu poświęcił opanowaniu sztuki chodzenia na kółkach, z płasko przywiązanyimi stopami do ud. Efekt znakomity. Na ekranie szokuje swą postacią mały człowieczek, o wielkim tubercle i króciutkich, pokracznie rozstawionych nóżkach.

Kreacja Colette Marchand, gwiazdy baletu Rollanda Petit w roli tancerki z Moulin Rouge-La Goulue — doskonała.

## Niezwykła kariera cudownego dziecka

Z okazji zgonu wielkiego polskiego pianisty Józefa Hofmanna (1876—1957) pisma amerykańskie zamieszczają różnego rodzaju artykuły, które wyciągają z życia tego sławnego artysty, który od wczesnej młodości zamieszkał w Stanach Zjednoczonych.

Ten genialny muzyk był zarówno znakomitym odtwórcą, jak i kompozytorem, pedagogiem, który wykładał wielu słynnych pianistów — wynalazcą i konstruktorem wielu mechanicznych przyrządów i części samochodowych, na co uzyskał i eksplloatował przeszło 60 patentów.

Już jako dziecko skonstruował przyrząd pozwalający mu operować pedałami fortepianu, których nie mógł osiągnąć stopami, siedząc na wysokim taborecie.

Mając lat 11, Józef Hofmann rozpoczął tournée koncertowe w kilku krajach europejskich (Skandynawia) i Ameryki. Seria koncertów w Stanach Zjednoczonych obejmowała 80 występów, po cztery tygodniowo. Za 52 koncertami tournée zostało przerwane wskutek interwencji Towarzystwa dla ochrony dzieci przed okrucieństwem. Wtedy cudownym dzieckiem zainteresował się pewien ame-

rykański filantrop i zaofiarował ojcu pianisty 50 tys. dolarów, celem starannego wykształcenia muzycznego syna. Dzięki temu w wieku 16 lat młody Hofmann został pierwszym i jedynym uczniem wielkiego pianisty Antoniego Rubinstejna. Nazwisko filantropa amerykańskiego zostało opublikowane dopiero w 38 lat później. Był nim Alfred Cornung Clark z Nowego Jorku.

Hofmann osiadł na stałe w Ameryce już w roku 1900. Tutaj też ożenił się po raz pierwszy z rozwódką Mrs George P. Eustis w roku 1905, z którą miał córkę Józefę. Po rozwodzie w 1924 r. Hofmann pojął za żonę pannę Betty Short, studentkę muzyki, młodszą od niego o 30 lat. Z tego małżeństwa pozostało trzech synów.

W roku 1924 nasz wielki i sławny już pianista został dyrektorem konserwatorium Instytutu, założonego przez panną Louise Curtis Bok w Filadelfii. Hofmann przebywał tutaj do roku 1930, po czym przeniósł się do Kalifornii.

Ostatni publiczny koncert dał Hofmann w 1940 r., a następnie wycofał się wraz z żoną z życia publicznego. — Zmarł po 4-dniowej chorobie sercowej w sanatorium w Los Angeles w wieku lat 81. Blisko 60 lat, bo od piętego roku życia, Hofmann występował na publicznych koncertach, czarując swą grą setki tysięcy słuchaczy całego świata. EBE

## Pokrzywy i pokrzywki

Pełno było planów i arcydzieł, projekty, powstania i Do Międzynarodowej Książki i Prasy. Oczywiście skończyło się tylko na pomysłach i sprawa „prasowa” dalej obraca się w sferach czystej abstrakcji. Co gorzej, nie wiadomo kto winien, bo zapytawad ludzie kompetentni, odpowiadają tajemniczym, wielkim słowem: Warszawa...

Ciekawym ewenementem były kiedyś sławne targi o bibliotekę naukową w Rzeszowie. — Dwa miliony panów, co do których zawsze mieliśmy zaufanie, darzyliśmy ich prac szacunkiem, w związku z omawianiem projektu umieszczenia biblioteki naukowej, z dzikim uporem zaczęło bronić swych pozycji. Sprawa o tyle ważna, że każdy z nich posiada dość okazały księgozbiór naukowy, który trzeba byłoby oddać tylko jednemu. Efekt taki, że obaj dzielnie bronią swoich „bestsellerów” naukowych, a tej bardzo pozytywnej placówki, jaką jest biblioteka naukowa, jak

nie było, tak nie ma. Panowie, przez ilość nad czytelnikiem, pógódźcie się!

Ostatnia nasza próba pod adresem sławnej CWF, to: zmieni i to szybko panowie, fotosty zapowiadające nowości, które z wystawy baru mlecznego przy ul. 3 Maja biją w oczy każdego przechodnia. Wiszą tam już od przeszło miesiąca. Druga sprawa, a raczej sprawa, to zaplanowane do kina „Zorza” po raz drugi „Damskiego krawca”, z chwila kiedy doskonały film Jacques Feydera „Zwycięzły kobiety” daje się do „Switu”. Zwłaszcza, i na to można by zwrócić uwagę, że film ten liczy sobie ponad 20 lat i można drzeć o stan kopii, podczas kiedy „Swit” znany nam jest z niezbyt hojnego wyposażenia w aparaturę techniczną. Jedź zeli już coś się robi, to nie należy zapominać o głowie, a kleska, do której wypędzenia Fernandela jest jedyną, nie może nam przysłać wartości artystycznej.



● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ●